

Stara choroba rewizjonizmu

Ostatnia polemika na prawicy między tzw. „rewizjonistami” polskiej historii a „brązownikami”, (jak ci pierwsi protekcjonalnie nazywają tych drugich) nie jest w naszej literaturze czy publicystyce czymś nowym. Zawsze jednak jest źródłem nieporozumień, podziałów, a nawet wrogości, ku uciesze obecnych i przyszłych wrogów Lechitów, czyli nas wszystkich, którzy postanowili trwać po swojemu w tym, a nie innym miejscu na mapie Europy. Najłatwiej dyskutuje się o czymś, co już miało miejsce, co się wydarzyło, przymierzając współczesną wiedzę historyczną, a szczególnie tragiczne skutki politycznych i wojennych rozstrzygnięć, do minionych realiów. A te były ówczesnym Polakom tak samo łatwe do rozpoznania jak dziś nam, współczesnym, plany geopolityczne Władimira Putina i reakcja na nie tzw. Zachodu, na czele z USA.

Pierwszym, który publicznie zastanawiał się, co by było, gdyby Polska przedwojenna zorientowała się w swojej polityce zagranicznej na Niemcy hitlerowskie przeciwko Rosji, był Jerzy Łojek. W 1978 roku, jako Leopold Jerzewski, w warszawskim miesięczniku „Głos”, wydał poza cenzurą pracę pt. „Agresja 17 września 1939”. Pełny tekst pierwszego wydania książki ukazał się dopiero na początku 1980 roku. Drugie poszerzone wydanie dwa lata później, gdyż wskutek stanu wojennego w ręce esbeków trafiły materiały uzupełniające, monografia, dokumenty, które autor musiał ponownie odtworzyć. Z tych względów praca Łojka nie doczekała się szerokiej dyskusji, a i nie pomogły

wydawnictwa emigracyjne, które ze względu na krytykę autora Rządu II RP, Naczelnego Wodza i całej zresztą Sanacji, nie zdecydowały się na publikację jego książki.

Dzisiejsi „rewizjoniści” polskiej najnowszej historii (Rafał Ziembkiewicz, Sławomir Cenckiewicz, Andrzej Zychowicz) odkopali argumenty Łojka, wywołując dyskusję, której nie mógł się doczekać autor „Agresji”. O ile jednak Łojek stawiał swoje tezy niezwykle ostrożnie, to wspomniani panowie z jakąś nieukrywaną satysfakcją walą jak cepem w polskie idee, czyny, bohaterstwo, nadzieje, tym silniej, im mniej pasują im one do kreowanej przez siebie real-polityki, i tej wydumanej - z gatunku political-fiction, w której także się lubują.

Najaktywniejsi „brązownicy” (m. in. Piotr Gursztyn, Jan Żaryn, Marcin Wolski) niczego nie galwanizują, lakierują czy pudrują. Starają się oddać należny hołd polskiej historii, także tej najtragiczniejszej, faktycznie poznawanej dopiero po latach. Bronią polskich autonomicznych racji, które nie pozwalały nam iść z Hitlerem na Sowiety a z Sowietami na Hitlera. Stoją na gruncie braku alternatywy dla wzniecanych polskich powstań narodowych czy dziejowej konieczności wybuchu Powstania Warszawskiego. Nie mądrzą się, ale starają zrozumieć motywy i okoliczności tamtych decyzji, przyjmując klęski jak i zwycięstwa z tą samą pokorą, z tym samym dziejowym dystansem wczuwając się w polskiego ducha wolności. Oddają tym samym sprawiedliwy hołd historii, pamiętając, że ostatecznie rozsądza o niej najwyższy twórca Dziejów i Całej Ludzkości. Bo

to Bóg pozostawia człowiekowi wybór ostatecznej drogi, która będzie podążał w swojej historii Zbawienia.

Czy jest to zatem spór historycznych „realistów” z historycznymi „idealistami”, „pozytywistów” z „romantykami”, „pragmatyków” z „utopistami”. Po części tak, z zastrzeżeniem, że wymienione umowne cechy mogą dotyczyć zarówno jednych jak i drugich. Ważne jest co innego w tym sporze. Dzisiejszy jego kontekst, po 44 latach komuny i 25 latach postkomunizmu, kontekst lat PRL-u i III RP, w których Polska nie może wybić się na prawdziwą polskość i niepodległość, tłamszona ekspansją obcego kapitału, wewnętrzną pedagogiką wstydu i brukselską polityczną poprawnością.

Spójrzmy na to inaczej. Kto w tym współczesnym sporze, „rewizjoniści” czy „brązownicy”, bardziej pasuje do obrazu Polski Donalda Tuska? W tekście będącym credo Tuska, z listopada 1987 roku dla miesięcznika „Znak”, zwanym w skrócie „Polskość to nienormalność”, czytamy: „Polskość wywołuje u mnie niezmiennie odruch buntu: historia, geografia, pech dziejowy i Bóg wie co jeszcze wrzuciły na moje barki brzemię, którego nie mam specjalnej ochoty dźwigać, a zrzucić nie potrafię (nie chcę mimo wszystko)”. Tusk autentycznie cierpi na polskość z winy Polski: „Tak, polskość kojarzy mi się z przegraną, z pechem, z nawałnicami”.

I nic dziwnego, że Donald Tusk wybrał drogę, która wreszcie uwolniła go od tego cierpienia. Z niemieckiego namaszczenia stał się najważniejszym urzędnikiem UE. Zrzucając z siebie

odpowiedzialność za Polskę, którą doprowadził na skraj
przepaści, narzucając jej jako normę kłamstwo i cynizm, zyskał
wreszcie swoją wolność i sukces. Sukces Tuska wbrew Polsce,
bez cierpienia z Polską i za Polskę mamy uznawać za własny?
Tusk wraz ze swoją formacją polityczną wytworzył nigdy
nieakceptowane przez patriotyczną Polskę nowe wzorce starego
polskiego zaprzaństwa i konformizmu.

„Rewizjoniści” historii Polski cierpią na tę samą chorobę co
Tusk. Zajęci badaniem przyczynowości w historii oddalają się
od Polski, ku zadowoleniu naszych dziejowych przeciwników.

Wojciech Reszczyński

427Nasza Polska 25.11.14